



AUTOR: Ks. Rafał J. Sorkowicz SChr

Będę Cię szukał wciąż i na nowo, o zmierzchu i o świcie, w ciemnościach i strumieniach światła. Będziesz się chował, ukrywał, znikał nagle i boleśnie. Niech się stanie. Ból duszy rozkwita jak rajski ogród, nie ucieknę przed nim, będzie bolało, boli i ma boleć. Twoje spojrzenie, zalane Niebem, spoczywa na mnie nieustannie, czuję to, wiem. Gdyby nie ono umarłbym z pychy, pochłonięty ziemią, która wydaje owoce i usycha, daje życie i pochłania zimne ciała. Jestem, bo Ty jesteś, Panie, żyję, bo Ty we mnie żyjesz...

Pod sutanną nie znajdujesz bohatera, świętego z obrazków, herosa ewangelicznych bojów o duszę świata. W pejzażu czarnego sukna kryje się mały chłopiec, człowiek zraniony, ciało drżące od lęków, umęczone prośbami o chleb powszedni i win odpuszczenie. Ten chłopiec kiedyś stanął pośrodku lasu i między drzewami wspinającymi się ku niebu, płakał, gotowy umrzeć z zimna, z dziecięcej bezradności, raz na zawsze pozbywając się oddechów życiodajnych, milczących świadków historii jeszcze jednego życia...

Czy w Niebie parzą herbatę i jedzą kruche ciastka z cukrem? Co dzieje się z moim ojcem, którego kiedyś postanowiłem przez jakiś czas nigdy nie nazywać "tatusiem"? I dlaczego, nawet wtedy, gdy trzymam Cię w dłoniach pobudzonych własną winą i grzechami wielu, którym wszystko przebaczyłeś, dlaczego nawet wtedy wiem, że jesteś, choć sił mi wciąż brakuje, by to

przełożyć na życie, na słowa solidnie święte, na myśli całkiem błogosławione i kroki, szukające tej jednej zaginionej owcy, która beczy głośno tak blisko mnie, a ja nie słyszę... Może nie chce?... Może się boję, że nie dam rady, że nie podołam. Że świętość za trudna, choć przecież tak prosta. Taki męski strach, pod pianką pychy i najzupełniej głupiego przekonania, że sam sobie poradzę, przecież jestem facetem...

Najtrudniej jest nie - szukać Ciebie i Twoich owiec, Panie, ale pozwolić odejść tym, którzy muszą zmarnotrawić wiele, by pojąć jak mało wiedzą. Chciało by się wszystkim aureole na głowy powkladać, skrzydła lekkie jak płatek śniegu do pleców podoczepiać. Prześcignąć rybaka Piotra w wydeptywaniu fal, bez utonięcia i słonych zwątpień... Nad trumnami bliskich śmiać się nadzieją, bez łez parszywie egotycznych, gdy się kogoś traci. A tu nic. Wciąż ta sama luna historii, te same szlaki, wydeptane przez innych, których też stworzyłeś i prowadziłeś do Nieba. Czy oni też czasami krzyczeli po nocach, różańcem oplatając palce dłoni, czy oni też mieli wszystkiego dość, czy oni też umierali tak powoli i tak beznamiętnie, chwytając dzień po dniu, noc po nocy? I najgorsze jest to, że znam na te debilne pytania odpowiedź... Sześć lat filozofii i teologii robi swoje. Znam, wiem, rozumiem... I cóż z tego?... Milczysz. Słowem po słowie. Jesteś jedynym, który mówi milczeniem. Bez wielkiej intelektualnej gimnastyki. Kiedy się tego nauczę, Panie, kiedy?...

Za oknem pada śnieg. Robi się białe i zimno zarazem. Nocą robi się cicho. Może dlatego właśnie w nocy mnisi podrywają się z nóg i zamiast w kołdrę wtulają się w Ciebie, pożerając kolejne sekwencje laudesów. Będę Cię szukał, wielki Milczący, Stworzycielu Nieba i Ziemi, słów, które ukrywają się w ciszy wszechświata, czekając na swoją godzinę zaistnienia. Będę Cię szukał i odnajdywał w złotych monstrancjach, w głębinach paten i kielichów, w oczach Madonny z dzieciątkiem, w drewnianych i kamiennych spojrzeniach świętych, zastygłych w rzeźbach i świątynnych figurach. Będę Cię szukał i odnajdywał w młodych, którymi mnie obdarowałaś i którymi karmisz mnie na co dzień, choć gorzki mają smak niekiedy i trudno ich przełknąć, a nawet pokochać. Będę Cię szukał i odnajdywał w cichej rozpacz, rzucanej Eucharystii na pożarcie, będę Cię szukał i odnajdywał wśród żywych i umarłych, wśród słabych i mocnych, świętych i złajdaczonych... A wszystko w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Panie mój. Tato.